

1. Sklepiarz

Już w drzwiach witał każdego zniewalającym uśmiechem. Klienci mieli wrażenie, jakby uśmiechnął się do nich los. Wydawało się im, że wszystko dostawali po niższych cenach niż gdzie indziej. Uprzejmy sprzedawca tworzył nadzwyczajną atmosferę życzliwości. Jego rozpromienione oczy nie kryły radości z kolejnego spotkania z kupującymi, a rozchylone usta w każdej chwili były gotowe powiedzieć coś miłego. Kiedy wciskał klawisze kasy fiskalnej, kwotę do zapłaty szeptał tak, jakby wyznawał uczucia wyjątkowego przywiązania do odbierającego zakupy i kwit potwierdzający wniesienie za nie opłaty. Imponował, stawał się idolem osiedla, do którego jakby nie należał, bardziej pasując do którejś z wysepek na rozwieszonych reprodukcjach reklam biur podróży wyciętych z kolorowych czasopism. Nabywca najdrobniejszej choćby rzeczy był obsługiwany jak kupujący w salonie najmodniejszych samochodów marki światowej i sycił się błogością chwili lepszej od innych. Przychodzili przygaszeni, bez poglądów na cokolwiek, bez ciekawych wspomnień, nawet bez pamięci o szkolnych ekscesach. Świat istniał dla nich w dwóch czasach: ten gorszy był pochłonięty bez reszty przez chwilowe zapomnienie, a ten lepszy trwał tak długo, jak długo z ust sprzedawcy nie schodził kojący nerwy uśmiech. Pograżeni w błogostanie niechętnie opuszczali sklep. Powoli szli w stronę kłębiących się chmur owadów, ospale powracali do beznadziejności godzin wśród kruszejących ścian ruder, jeżeli jedno dni od różniły się od drugich, to tylko odwiedzinami w sklepie; dreptali którądykolwiek, gdziekolwiek, bez buntu przeciwko bycia częścią odrażającej rzeczywistości.

Osiedle Grzęzno — niewiele większe od kilkudziesięciu boisk piłkarskich — było wyjątkowo brzydkie, z wąskimi, krótkimi uliczkami, z bardziej widocznymi dziurami niż starym brukiem, z resztkami chodników, których ubytki zalewano czarnym asfaltem, nocą tylko tu i ówdzie z oklejonymi ogłoszeniami o gotowości podjęcia każdej pracy latarniami, rzucającymi nikłe kręgi światła na bylejąkość, z murami z odklejającymi się strzępami klepsydr. Z nielicznych balkonów płatały odpadały tynki, przerdzewiałe balustrady groziły zawaleniem, wypaczone okienne ramy z łuszczącą się farbą o ciemnych barwach trudnych do zidentyfikowania tworzyły fugi, które uszczelniano przed powiewami wilgotnego zimowego wiatru — z nad zalewu czym się dało, tak jak i brakujące szyby w niektórych oknach dyktą czy sklejką. Zdewastowały je wojna, powojenna niepewność swego losu przybyłych na zachód ze wschodnich kresów osadników, szabrownicy. Urbanistyczna obrzydliwość, cywilizacyjny wandalizm zaczynający się od

autobusowego przystanku z wybitymi szybami, a kończący na rozpadających się komórkach przyklejonych do zmurszałych murów domów. Na skraju tej nędzy z każdą porą roku powiększaną kolejnymi elementami ubóstwa zmieszanego z estetyczną obojętnością na otoczenie (zimną na ogołoconych z liści gałęziach drzew powiewały zerwane z balkonów foliowe worki, odzież, a wiosną po roztopach chodniki mierzły psimi odchodami, jesienią zaś deszcze tworzyły na ulicach bajora, a zimną śnieg czernił się opadającym dymem z kominów), za ugorem porośłym turzycą piaskową, przyrodniczym siedliskiem, jak grzyby po deszczu wyrastały domki jednorodzinne kryte jaszkrawo czerwonymi dachówkami, z garaży nuworowszy wylaniały się auta, z których w drodze do pracy w centrum miasta wyrzucano na niezagospodarowane kwartały czarne duże worki ze śmieciami; zadusiły one mlecz, pleniący się dużo wcześniej przed stertami odpadów, napierały na krzaki białego bzu. Osiedle bez większych nakładów mogło zostać skansenem. Enklawa nowobogackich na północ od Grzęzna, zwana Zefirem, była niejasnym permanentnym zagrożeniem dla ubóstwa sąsiadów, którzy nie potrafili się bronić, bezskutecznie prosząc władze osiedla o kamery nagrywające wandalii.

Za to mieszkańcy osiedla cieszyli się pięknym położeniem nad wodą zalewu z wybagrowanym torem dla statków pełnomorskich płynących do szczecińskiego portu. Główna ulica dochodziła do drogi 114, prowadzącej ze Szczecina do Podgrodzia, gdzie przed stuleciami mieściła się książęca komora celna, a także do rybackiego miasteczka Nowe Warpno na półwyspie, z którego regularnie odbijały promy do niemieckiej przystani. Malowniczego uroku osiedlu dodawała przystań żeglarska Róża Wiatrów — wielkości stu dwudziestu kortów tenisowych, cumujące przy nabrzeżu Wilków Morskich — o obszarze dziesięciu boisk do piłki siatkowej — łodzie rybackie, a o regionalny smaczek wzbogacał obrazek kobiet filetujących ryby prosto z połowu: wąsate sumy, miętusy z głowami przypominającymi żaby, silnie uzębione sandacze. Obraz dopełniały kręcące się z wyprężonymi grzbietami koty, nie gardzące najmniejszymi resztkami po szczupakach, siei, okoniach. Poza żeglarzami na południowym obrzeżu osiedla pojawiali się też nieliczni turyści, gdzie niedaleko cmentarza stał romańsko-gotycki kościółek na fundamentach z głazów polnych pod wezwaniem Podwyższenia Świętego Krzyża.

Na osiedlu z ruderami czekającymi na generalne remonty albo na wyburzenie, z mieszkańcami o ponurych twarzach pooranych codziennymi kłopotami, bez nadziei na lepszą przyszłość, egzystujących na granicy nudy i zwątpienia, Miłosz Miłek był

postacią wyjątkową. W sobie tylko wiadomy sposób nie dość, że tryskał optymizmem, wiarą w coraz lepszą przyszłość, to jeszcze pokrzepiał innych, ze skwapliwą usłużnością dodawał im na tyle wiary w sens istnienia, że na osiedlu było mniej samobójstw niż gdzie indziej. W jego twarz wpisane było stałe zadowolenie: emanowała ona radością i entuzjazmem nawet wówczas, gdy mówił o rzeczach przykrych, nazywając je incydentalnymi. Uśmiechał się nie tylko w sklepie, ale także poza nim. Każdemu spotkaniu czy pozdrawianiu towarzyszył szeroki uśmiech. Nic więc dziwnego, że zyskał opinię człowieka nadzwyczaj sympatycznego. Określenie nie miało większego znaczenia aż do czasu, gdy pojawił się w programie lokalnej telewizji. Zmarł poeta Konrad Morski. Miłosz Miłek był jego sąsiadem i przemówił nad trumną. Nie znał się na poezji, nie odważyłby się jej oceniać, za to posiadał wielką łatwość wypowiedzi, czego dowiódł na cmentarzu. Dał upust wypełniającym go emocjom. Padło tak wiele pięknych epitetów o poecie, jego twórczości, że dla wielu skupionych wokół mówcy zmarły stał się wielkim, a kto wie czy nie największym współczesnym twórcą, z którym przyszło przedwcześnie się rozstać. Tu i ówdzie słychać było westchnienie, nawet kilku starszym kobietom spoglądającym na zdjęcie zmarłego w czarnej ramce, doceniającym znaczenie takiego słowa jak samotność, z oczu pociekły łzy. Miłek pożegnał poetę jak sąsiad sąsiada, który nie zastuka już do drzwi samotnika mozolnie tkającego wers po wersie na strofy o wymarzonej w niewielkim mieszkaniu na osiedlu Grzęzno wyspie Armentaquereilla (rozsmakował się w tej nazwie) i nie zaprosi na partyjkę szachów. Autor wówczas jeszcze niewydanego tomiku nie najlepiej grał, najczęściej przegrywał i nie wiadomo skąd czerpał nadzieję, że wkrótce będzie lepszym partnerem. Pisanie wierszy o pięknej, lecz przecież nie istniejącej nawet w *Google* Armentaquerelli, gdzie przebywał częściej niż gdzie indziej, nie przyniosło mu sławy, jednak żył nieustającą wiarą w sens ich tworzenia. Pisał, nie osiągając większego efektu i grał w szachy z mizernym rezultatem. Do końca, do ostatnich dni.

W końcowym etapie przemówienia Miłek oddał głos poecie, cytując fragment często przez niego powtarzany:

*Po ucieczce od obcych ci wydarzeń
za horyzontem są miejsca twych marzeń.*

Po nadawanej w telewizji krótkiej relacji z pogrzebu określenie Miłka sympatycznym zyskało wyższą rangę, jaką tylko mogą nadać media. Mówiono więc o nim jako o sympatycznym sąsiedzie niedocenionego poety, o niezwykle sympatycznym mówcy, który żałobnej ceremonii dodał jaśniejszego blasku, o sympatycznym mieszkańcu

dzielniczy występującym w telewizji, co niewątpliwie jest wydarzeniem godnym uwagi. Oczywiście sympatycznym wydarzeniem.

Wkrótce przypadek spowodował zwiększenie jego popularności. Zwykle w porze kwitnięcia akacji nad zalewem organizowano regaty turystyczne. Właściciel tawerny Hals, Jan Mityk, zamówił u niego pieczywo. Przywiózł je i przyglądał się corocznej imprezie, najważniejszej w kalendarzu wydarzeń osiedla.

Gotowi do wyścigów w żeglarskich regatach ustawieni w foremnym czworoboku, z jednym bokiem niedomkniętym, w skwarne przedpołudnie wyglądali żałośnie. Jakby założyli na siebie rzeczy wyciągnięte z osiedlowych pojemników PCK: wymięte szorty, koszule w trudnych do określenia kolorach. Szare, umęczone, niewyspane twarze harmonizowały z ich ubiorem. Przed nimi, w miejscu otwartego czworoboku stali organizatorzy, jedni w odprasowanych garniturach, drudzy w mundurach różnych formacji związanych z wielką i małą wodą. Choć słońce oślepiało tych w czworoboku, a organizatorzy mieli je za plecami, tylko oni założyli przeciwsłoneczne okulary, zza których niecierpliwie zerkali w stronę tawerny „Hals”, z napisem wypalonym na dębowej desce zawieszanej nad wejściem na dwóch łańcuszkach najprawdopodobniej pochodzących z jakiegoś relingu łajby odholowanej do huty.

Wielu mówców obiegowymi sloganami podkreślało piękno zawodów, zmaganie z naturą, radość z doznawania rozkołysiem na fali. Raz po raz przypominano: *Navigare necesse est, vivere non est necesse*. Przemawiali z patosem Pompejusza, jakby bez tych słów żagle miały nie chwycić wiatru, a pod kilami zabrakłoby stopy wody.

Ci, którzy wzięli sobie do serca wygłaszane banały jeszcze nie doczłapali do swych łodzi, gdy organizatorzy mieli inną opcję. Zdjęli przeciwsłoneczne okulary, wciągnęli je nad czoła i kulturalnie się przepychając, nacierali na wąskie schody tawerny „Hals”. Stoły ustawione na tarasie w zamknięty czworobok ugiwały się pod ciężarem potraw, napojów, przecząc przyjętej opinii, że portowa karczma oferuje skromne menu dla żeglarzy i rybaków. Bez słów zachęty, powołań się na literaturę, rozważań, co jest, a co nie jest koniecznością, skupiono się na półmiskach, butelkach i błyskawicznie rozpoczęto zmagania z nimi. Z satysfakcją stwierdzano, że nie trzeba daleko płynąć, by doznać żeglarskich wrażeń.

Gapie na nabrzeżu długo śledzili coraz bardziej malejące żagłówki. Odprowadzała je też kamera telewizji lokalnej. Ekipa już chciała zwijać kable, gdy redaktorka Monika Szwaia zauważyła Miłosza Miłka, z którym wcześniej przeprowadzała wywiad na cmentarzu. Bez wahania podeszła do niego i zaproponowała mu podzielenie się

z odbiorcami programu uwagami na temat regat. Choć mężczyzna tyle lat mieszkał blisko wody, nie interesował się żeglarstwem, nie miał o nim żadnej wiedzy. Jednak skoro nalegano, by coś powiedział, nie odmówił redaktorce z mięsistymi ustami pokrytymi szkarłatną szminką..

— Przy regatach jest kolejna cyferka — zauważył z trudnym do odgadnięcia uśmiechem z dobrą dykcją, co było czymś wyjątkowym w powszechnym bełkocie biorących wcześniej udział w wywiadach. Jego pociągła twarz jeszcze bardziej się wydłużyła. — Stało się tradycją osiedla nad zalewem ich współorganizowanie. Niestety, wciąż nie mają swego patrona. A przecież żył tu i tworzył poeta, z którego okien mieszkania rozciągał się widok na wodę. Stale do niej tęsknił, widział przepływające statki, kiedy mgła opadała na zalew, naonczas — to słowo wychodzące z użycia powtórzył trzy razy, przez co wypowiedź wzbogacił w niuans określający czas jakimś patetycznym podtekstem, niepokojąc redaktorkę podejrzewającą, że popełnia językowy lapsus — do jego uszu dopływał melancholijny dźwięk buczków. Dlaczego z tego świata, w którym żył i tworzył, uciekał w inny, na Armentaquerellę? Może dlatego, że nie dostrzegano go tu, nie umiano docenić jego wyjątkowych zdolności, jakich innym mieszkańcom osiedla natura poskąpiła? Tacy nie rodzą się na kamieniu i zasługują na więcej niż na skromny grób. Nie stać nas na postawienie mu pomnika? — zakończył *interview* pytaniem.

Słowa te, szczególnie ostatnie pytanie, po powtórkach telewizyjnej relacji z otwarcia regat do głębi ożywiły wyobraźnię działaczy związku żeglarskiego, a w osiedlu nie kryto podziwu dla sympatycznego sklepikarza tryskającego ciekawymi pomysłami. Zaczęto przebąkiwać, że marnuje się za ladą sklepową. Tacy jak on nie do tego zawodu są predestynowani; zasługują na coś bardziej znaczącego. Wojna, okupacja, czasy stalinizmu wytrzebiły polską inteligencję, a tu, proszę, jaki umysł, jaka wyjątkowość się chowa w ciasnym punkcie sprzedaży na osiedlu.

Do pewnego stopnia mieli rację. Bo mało kto tak jak on w swym sklepiku potrafił walczyć z konkurencyjnym hipermarketem postawionym kilkaset metrów dalej, przy granicy osiedla domków jednorodzinnych „Zefir”. Półki zapełnił nowymi, świeżutkimi towarami, przyjął też kilka usług. U niego można było wypełnić kupon Lotto, nabyć kolorowe czasopisma dla kobiet, w tym najpopularniejsze „Żyjmy lepiej”. Zanim na osiedlu Zefir nie pojawiła się Sara, Cyganka wróżąca z kart przyszłość, na półce leżały też czasopisma z artykułami analizującymi polityczne i gospodarcze perspektywy

kraju; nie brakowało też pisemek z wróżbami i horoskopami. Kiedy mieszkańcy zamiast czasopism wybrali Cygankę, zmniejszył ilość egzemplarzy tamtych tytułów. Ruch miał niewielki. Jednak nie narzekał, nie tracił czasu na zrzęczenie, a każdą wolną chwilę poświęcał na lekturę czasopism zalegających regał i z optymizmem patrzył w przyszłość. Nie pozostało to bez wpływu na kulturę jego wypowiedzi, sposób zachęcania do nabycia właśnie tego konkretnego czasopisma. Do wahającego się — wydać kilka złotych na gazetę czy nie? — uśmiechając się, przemawiał: „Arsenały pełne broni, coraz więcej różnego rodzaju słowników wydawanych na użytek otumaniających nas polityków, którym brakuje empirii, więc wspiera się ich nimi, by zgrabniej dochodzili do lingwistycznych konstatacji. A wszystko po to rzekomo, by obywatelom żyło się lepiej, dostatniej, bezpieczniej. Pozornie. Czytaj pan, a poznasz prawdę. Z wielu zakładów produkcyjnych wyrzucono tych, co wierzyli: *bez pracy nie ma kołaczy*. Chodzą teraz z transparentami i w kółko to samo wykrzykują: *Pracy, chleba, pracy, chleba...* Ale już nie wrócą tam, skąd wyszli, nawet gdyby przestali wierzyć, że *bez pracy nie ma kołaczy*. Na ich dawnych stanowiskach okopali się głosiciele nowej prawdy: *Dobra rada tyńfa warta*. Czytaj pan, a poznasz prawdę. Nie tłumaczą, co znaczy *tyńf*. Są od rad, choćby od takich mądrych, ba, globalnych, jak uchronić się przed zgromadzoną w arsenalach bronią, co zrobić, by ci z transparentami przestali zanudzać próchnem hasel. Czytaj pan, a poznasz prawdę”.

Franciszek Nieborak, nauczyciel z etatem w liceum, człowiek odczytany, widział przed sklepikarzem duże perspektywy rozwoju. Opinię wspierał przykładem i rozważaniem tak głębokim, że nikt nie śmiałyby podważyć zasadniczego wniosku co do przyszłości sklepikarza. „Otóż — mówił — dla oglądających takie filmy jak *Gorączka złota*, *It's a Wonderful Life*, *My Fair Lady*, *Dawno temu w Ameryce*, *Obywatel Kane* stosunkowo łatwo zrozumieć, czym są pojęcia demokracji, równości, wolności, mocno wpisane w Deklarację Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Dzięki przywiązaniu do niej społeczeństwo amerykańskie uwierzyło w możliwość spełnienia swojego *american dream*, czyli dorobienia się, osiągnięcia szczęścia. Biografie tych, którzy stanęli na szczycie bywają więc zaskakujące, często rozpoczynają się od losu Kopciuszka, a kończą w towarzystwie miliarderów. Na przykład kariera Michaela Korsy. Co prawda jego dzieciństwo nie było napiętnowane upokorzeniami, nędzą, nie zaczynał od przebierania maku. Urodził się w Ameryce! Z *przebieraniem* wiązał go tylko fakt, że matka była modelką, a on... przyglądając się jej, zaczął projektować ubrania sprzedawane w piwnicy. Z takim doświadczeniem podjął pracę w butik, w jego kącie, w którym odkrył

go Swfit Mello, dyrektor mody w Bergdorf. A dziś z nazwiskiem Korsy kojarzą się wyroby przeznaczone dla kobiet; zza tysięcy eleganckich butów, stylowych torebek, kosztownych biżuterii, damskich akcesoriów wylaniają się oryginalne wyścielane pudełka z niebanalnymi zegarkami. I przede wszystkim powstające z myślą o płci pięknej. Ubiera gwiazdy filmu wchodzące na czerwony dywan prowadzący do odbioru statuetki *Academy Award*, był projektantem sukni żony prezydenta Obamy. A gdzie zaczął? W kącie butiku, ciaśniejszym od sklepiku pana Miłosza Miłka”.

Po tak wygłaszanej opinii mieszkańcy osiedla z jeszcze większym szacunkiem patrzyli na właściciela sklepiku.

A on nieraz wkładał w kieszeń przenośnego odtwarzacza płytkę DVD, zawsze z Cesarią Evora, jakby zamierzał jej nostalgicznym nastrojem zachęcić do ucieczki w inny świat.

Nikt nie miał pojęcia, o czym śpiewa, co nie stało na przeszkodzie podziwiać sklepikarza za muzyczny gust. Podziwiano jego mądrość. Sympatyczny sprzedawca zyskał dość wysoki na osiedlu społeczny status, a monologów wysłuchiowano z największą atencją. „Takich ludzi przy kasach hipermarketu nie znajdziesz! Tam milczki siedzą”. — Stwierdzali głośno, gdy poza sklepem z szacunkiem myśleli i mówili o Miłku.

A on, wciąż z uśmiechem nie znikającym z ust i oczu, wygłaszał coraz dłuższe monologi:

— Telewizyjne programy o ogrodach mogą przemawiać za tym, że istniał biblijny Raj. Przynajmniej jest takie prawdopodobieństwo, bo skoro niejedyn człowiek tworzy dla siebie i bliskich raj, dlaczego Wszechmocny nie mógł dla siebie, Adama i Ewy, zwierząt, ptaków, gadów, roślinności? Takie wspaniałe ogrody oglądane na ekranie telewizora unaoczniają, co człowiek utracił, a za czym tęskni, co chętnie by odzyskał. Właściwością strat jest ich nieodwracalność. Inaczej nie byłyby tym, czym są — tęsknotą do rzeczy, której się już nie ma. Bo jak można sobie wytłumaczyć tworzenie na ziemi rajskich ogródków oszałamiających kolorami, pyszniących się bogactwem, różnorodnością natury? Tylko tęsknotą za miejscem utraconym? — zastanawiał się z uśmiechem na twarzy. — Adam i Ewa nie próbowali dojść do ugody z Wiecznie Miłosiernym. Prawdopodobnie nie doszłoby do niej, bo Łaskawy chyba już się znudził monotonią pary pozbawionej pomysłu na życie w rajskim przepychu. Za Adamem i Ewą opuszczających Raj wyslizgnął się zapewne także wąż, mądrzejszy od nich, z lepszą pamięcią i z szatańskimi pomysłami. — Zawieszał głos i z uśmiechem spoglądał na słuchaczy, pociągając palcami prawej dłoni po gładkim, starannie ogolonym

podbródka. — Czy to nie on podpowiada twórcom ogrodów, jak odtworzyć Raj na Ziemi, by owymi maleńkimi obrazkami na ekranach telewizorów drażnić przygarbionych ciężarem i beznadziejnością życia ludzików? — rzucał retoryczne pytanie i zaraz dawał odpowiedź: — Drwi sobie z pokornego wyznania płynącego przez tysiąclecia: *Mea culpa*. Wie, co do jego obowiązków należy”.

Z nim nie prowadzono konwersacji. Jego z należytą uwagą trzeba było słuchać, z respektem odbierać nie kończące się rozważania, które mogłyby przy pewnej wrażliwości odbiorców pod banalną powierzchnię życia mieszkańców nad zalewem wtłoczyć coś ożywczego, skłaniającego do buntu przeciwko otaczającej szarzyźnie, nijakości, beznadziejności.

— Świat nie musi być tylko szary, ani też czarno-biały — przekonywał głosem pewnym, jakby anonsował nadejście czegoś nowego. — Różnych kolorów jest tyle... — I zawieszając głos, patrzył na swych słuchaczy z uśmiechem wyrażającym nadzieję, że w końcu i oni będą myśleć podobnie i jak on wierzyć w lepszą egzystencję.

Tak wiele miał im do przekazania, gdy oni, wpatrzeni w intensywny błękit nieba albo w kłębiące się ciemne chmury, mogli zawsze o tym samym i tak samo jak z płyty *dvd-r* o deszczu, pogodzie, o tym, czy dziś zimniej, czy cieplej niż wczoraj, czy wiatr dmuchnął z południa, czy z północy, czego więcej złowiono: szczupaków czy okoni, a może łososi, oby dał Bóg...

I tak codziennie.

Nawet w niedzielę dla spragnionych piwa Miłek, świadomy konkurencji z tawerną, gdzie na szczęście dla niego było drożej, a od pijących wymagano zamówień z kuchni, zaraz po niedzielnych nabożeństwach w telewizji i radiu otwierał sklep dla nich — wierzących, niewierzących, pogrążonych w bałwochwalstwie czy szukających Boga, a odczuwających potrzebę alkoholizowania się. Właśnie w takie jedno ze świątecznych przedpołudni, gdy piwosze wypełnili sklepik, a właściciel swoim zwyczajem zabawiał ich przypowiadkami, jeden z najbardziej gamoniowatych osiłków z rybackiego kutra, taki o niezwykle szerokich barach, psim spojrzeniu, z wyblakłymi blond włosami, z opinią walniętego, zachnął się i z nieoczekiwaną impulsywnością ostentacyjnie chępliwie wyznał:

— A ja to wszystko mam w d... — i jego czerwoną płaską twarz pokryły krople potu, jakby wypowiedziane zdanie wymagało nadzwyczajnego wysiłku, większego od ciągnięcia sieci, a opuchnięte szkliste oczy nabrały wilczego blasku.

Występ ten był niespodziany, przeczył niepisanemu regulaminowi obowiązującemu w sklepiku; świadczył też o jednym: nie brakowało tu profanów.

Zapach nie do końca przetrawionego piwa był trudny do zniesienia.

Najpierw zafrapował wulgarnym słowem i nie mniej brzydkim gestem, potem ten i ów próbował go obsztorcować, ale już chwilę później wszyscy stwierdzili, że ani słowo, ani gest nie pasują do miejsca, w którym mądrze wśród *homo sapiens* królował Miłek, ani do nastroju, jaki tworzył, nawet gdy było w nim wiele z niedopowiedzenia, zawieszenia myśli w niedopełnieniu, jak w sali kinowej przed rozpoczęciem projekcji, jednak zaniechali komentowania i bezceremonialnie monstrualny akt sceny obyczajowej zakończyli wypchnięciem prostaka za drzwi, oczyszczając audytorium z elementu zakłócającego harmonię spotkania. A Miłek? Przesunął dłonią po twarzy, jakby z niej coś zamierzał zetrzeć, może poczuł na niej padające chamskie słowa i chciał się pozbyć tego wrażenia? Ten gest ręki był mu potrzebny i wystarczał.

Od tego czasu chama z wyblakłymi blond włosami nie widziano już ani w sklepiku, ani na osiedlu. Przebąkiwano, że wyjechał z kraju, w którym z oślim uporem twierdził, że wszystko miał w d...

— Takie zachowanie nazwałbym lokalną idiosynkrazją — ujął w naukowe ramy Franciszek Nieborak, nauczyciel o jeszcze wyższym od sklepikarza statusie społecznym na osiedlu, gdy robiąc drobne zakupy, między innymi zaopatrując się w piwo, usłyszał, że coraz mniej widać młodych, i przy tej okazji wspomniano o ucieczce gapiowatego osiłka. — Ot, niuansik z życia zróżnicowanych kulturowo mieszkańców osiedla.

Miłek z pokoju zmarłego wyniósł kilkanaście egzemplarzy autorskich, miał bowiem nadzieję wkrótce je rozdać zainteresowanym poezją. Obiecywał sobie, że kiedy do końca pozna wiersze z tomiku „Armentaquirella”, dedykowanego Karolowi Jaskółce, żeglarzowi, zrozumie ich sens, spróbuje bywalców sklepiku przekonać, by pochylili się nad tym, co im Konrad Morski pozostawił w spadku.

Nie rozumieli, do czego zmierza, ale zaczęli nie bez powodu uważać, że jest wyrazicielem czegoś istotnego, co powinno być ważne w ich życiu. Że wie on więcej od nich i można się po nim Bóg wie czego spodziewać. A to na osiedlu z domami od dziesięcioleci czekającymi na remont albo wyburzenie było interesującą zagadką.

Kiedy w stolicy odbyła się wielka defilada z okazji wyjścia ojczyzny spod okupacji faszystowskiej, potrząsał przed klientami kolorową gazetą i z drwiącym uśmiechem, ze szczególną mocą ducha krzyczał:

— Czytajcie! Szczere wyznanie faceta. Kiedy kilku kolegom plutonu wręczano medale za odwagę wykazaną podczas II wojny światowej, ten zwierzył się, że był tym szczęściarzem, obok którego wróg przemknął dość daleko. W trzydziestą rocznicę zakończenia wojny z kolegami z drużyny odbierał skromne odznaczenie potwierdzające udział w wojnie. Ale już w czterdziestą rocznicę zwycięstwa, odbierając medal za odwagę, w imieniu tych z sekcji, którzy dożyli tej chwili, mówił o zagrożeniu, jakie wróg niósł ojczyźnie. Za to w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu wojny, facet ów, dziękując w imieniu kolegów z baterii za wysokie odznaczenia, wystąpił z wykładem o najważniejszych bitwach w Europie. W sześćdziesiątą rocznicę, kiedy otrzymywał Krzyż Zasługi z Mieczami, dziękując za wyróżnienie jego i kolegów z pułku, omówił strategię walki z niemieckim faszyzmem na frontach w Europie i świecie.

Z opadniętymi szczękami słuchano i patrzono z niejasnym uczuciem na sklepiarza w krótkim palcie, tak zwanej jesionce, odkrywającego przed nimi wielką prawdę, której nie powinni lekceważyć, ale też nie mieli pojęcia, co z nią zrobić. Kiedy zgłaszano kandydatów do rady osiedla Grzęzno nad zalewem, ktoś zaproponował Miłosza Miłka. Nie było sprzeciwu, a zainteresowany, maskując swój sceptycyzm co do wyników wyboru, zgodził się kandydować i w wyborach, nie kryjąc zdumienia jak na człowieka skromnego przystało, wygrał. Stan niezwykle radości i zadowolenia długo wypełniał sklepik. Choć naprawdę cieszone się nie wiadomo dlaczego.

Odtąd Miłek miał ciekawe sny. Inne od wcześniejszych. Tamte najczęściej dręczyły go problemami w rodzaju: co sprowadzić do sklepiku, by przetrwać na mocnym konkurencyjnym rynku w walce o klienta, albo miały przypadkowe wątki: banalne wspomnienia z dzieciństwa, wspomnienia szkolnych kolegów, koleżanek, z którymi nie potrafił się zaprzyjaźnić. Teraz śnił jak radny o osiedlu, na którym to i owo trzeba by zmienić; dla kilku tysięcy mieszkańców generował wizję lepszego terytorium do egzystencji.

Krótko odczuwał niestosowność swej skromnej osoby w nadzwyczajnym miejscu, w jakim się znalazł. To już nie był jego sklepik, to była przestrzeń mądrych myśli, ważnych decyzji. Mógł uczestniczyć w niezwykłych aktach tworzenia. Mniemał, że przez jakiś czas będzie obserwatorem uczącym się nowej roli. Stało się inaczej. Już na pierwszym posiedzeniu dowiedział, jak słuszne było powołanie go do rady. Kiedy w salce po popisach ezopowym językiem radnych zapanowała bierność ciszy, pasywność zachowań, odczuł potrzebę zerwania z gnuśnością, wykazania się aktywnością. Ożywił wszystkich zgłoszeniem projektu nadania regatom turystycznym imienia poety.

Niestety, nie uzyskał wyrwanych z otępienia poparcia. Wywodzący się ze środowiska żeglarskiego — albo z nim mocno powiązani — mieli inne ciche plany z nazwiskiem wieloletniego komandora regat, żeglarza ciężko chorującego i od kilku miesięcy hospitalizowanego. Miłek nie chciał dociekać, czy tak jest w istocie. Ustąpił, ale nie pozwolił zebrany znów popaść w stan apatyczny, natychmiast z wielką ekspresją przedstawiając inny wniosek: postawienie poecie pomnika. Pomysł zapisano, jednak odłożono do czasu, gdy projektodawca znajdzie na jego realizację środki, bo na osiedlu są priorytety od dawna czekające na decyzje i pieniądze. Nie było mu łatwo o nim zapomnieć. Znów wstał, rzucał się jak wigilijny karp w za małym dla niego sklepowym baseniku, aż w końcu opanowawszy się, zaproponował wmurowanie pamiątkowej tablicy w ścianę domu, w którym mieszkał poeta. Nie chciano nowego radnego zniechęcać do aktywnego udziału w obradach, więc *pro forma* — „w tym momencie”, jak przewodniczący podsumował — wniosek przyjęto, w związku z czym powołano komitet inicjatywny do stworzenia projektu uchwały zgodnie ze statutem. Jego przewodniczącym został Miłosz Miłek. A ten nie poprzestał na tym. Chciał nazwać jedną z wysp Armentaquerellą. Zapisano i ten wniosek w protokole i zobowiązano sekretarza do zasięgnięcia informacji w Komisji Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych, a także w Ministerstwie Administracji i Cyfryzacji, czy wyspa nie ma już jakiejś nazwy.

— To potrwa wieki! — stwierdzał niecierpliwy Miłek, potrząsając cieniutkim tomikiem ze zdjęciem maleńkiej wysepki na okładce, nie przypominającej tej, o jakiej mówił. — Ja już teraz zacznę ją nazywać Armentaquerellą! — orzekł butnie. — Zobaczycie, że inni też będą.

Na drugiej sesji rady rozważano wniosek Miłka o zorganizowanie corocznego konkursu poetyckiego o bryłkę bursztynu, konkursu imienia poety z osiedla nad zalewem, wizjonera, który, podobnie jak inni w istnienie Raju, wierzy w piękną wyspę o nazwie Armentaquerella, może leżącą niedaleko stąd na zalewie, jednak niewidoczną, bo bliżej drugiego brzegu albo nieco na północ, gdzie już wzrok nie sięga. Poza główną bursztynową nagrodą pozostałych zwycięzców, a może i niektórych wyróżniających się uczestników, zaproszono by do udziału w warsztatach literackich.

— Jaki byłby cel konkursu? — trajlował tonem zgryźliwca mężczyzna z bladą twarzą, najwidoczniej unikający słońca, nie rozumiejący pośmiertnej sławy poety, którego twórczości nikt nie znał. Malkontent. Ile razy zajrzał do sklepu Miłka, tyle razy ubolewał: — Wszystko coraz gorszej jakości, a ceny w górę, w górę. — Z pustymi rękoma nie wychodził.

— Inspirowanie do aktywności twórczej, promowanie talentów literackich, popularyzacja poezji — odparł autor koncepcji. Sięgnął po kartkę. — Nasze motywy tego przedsięwzięcia sformułujemy tak: „Celem konkursu jest pobudzanie aktywności twórczej w dziedzinie poezji, a także konfrontacje twórczości poetyckiej, promocja utalentowanych poetów, integracja środowisk literackich oraz rozbudzanie zainteresowania poezją”.